

BOYS OF TOMMEN #4, CZĘŚĆ 2

# REDEEMING 6

Ona nigdy z niego nie zrezygnuje bez względu na to,  
jak wiele przeciwności spotkają na swojej drodze.

CHLOE WALSH



Tytuł oryginału: *Redeeming 6*

Copyright © Chloe Walsh 2023

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne, Oświęcim 2025  
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Magdalena Mieczkowska

Korekta: Katarzyna Dziejzicka, Martyna Janc, Kamila Grotowska

Skład i łamanie: Michał Swędrowski

Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-953-7 · Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne · Oświęcim 2025  
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 [www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)  
✉ [niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl](mailto:niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl)  
📘 Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne  
📷 [niezwyklezagraniczne](https://www.instagram.com/niezwyklezagraniczne)  
✂ [Wyd\\_NieZwykle](https://www.tiktok.com/@Wyd_NieZwykle)  
🎵 [wydawnictwoniezwykle](https://www.youtube.com/channel/UC...)

**CHLOE WALSH**

# **REDEEMING**

**BOYS OF TOMMEN #4, CZĘŚĆ 2**

# **6**

**Tłumaczenie  
Mateusz Grzywa**

# CZĘŚĆ I

# **ODDYCHAJ, KOCHANIE. PO PROSTU ODDYCHAJ**

## **Joey**

– Joe?

Poczułem jej dłonie na twarzy.

– Joey, kochanie?

Otulił mnie jej zapach.

– Oddychaj, kochanie.

Nie czułem ciała.

Nie czułem niczego.

Wiedziałem, że próbuję usiąść. Czułem, że skopuję jakieś koce, ale głowa nie chciała współpracować.

Mózg nie działał.

Wszystko jakby rozjebane.

– Molloy – wyrzeźbiłem niewyraźnie. Kiedy mówiłem, ocierałem się wargami o jej szyję. – Gdzie ona jest?

– Już z nią dobrze. – Objęła mnie mocniej. Zamknęła w kokonie ciepła i żaru. – Z Shannon dobrze, kochanie. Już po operacji i wszystko poszło świetnie. U chłopców też w porządku. Wszystko gra, kochanie.

Zgarbiłem się i pochyliłem w przód, pozwoliłem sobie na to, by wesprzeć się na niej całym ciałem. Wiedziałem, że nie powinienem zrzucić na nią takiego ciężaru, ale nie potrafiłem się powstrzymać.

– Dziecko...

– Z dzieckiem też w porządku. – Poczułem jej wargi na czole. – U nas obojga wszystko gra.

Tylko ona wydawała się w tej chwili rzeczywiście.

Była tu i była prawdziwa.

Mogłem ją powąchać, poczuć i jej dotknąć.

*Tylko ona.*

– Która godzina?

– Koło wpół do siódmej.

– Który dzień?

– Niedziela rano, Joe.

– Moja głowa – jęknąłem i gdy ból przeszył mi czaszkę, wtuliłem głowę w jej szyję. – Moje oczy.

– *Ćśś*, już dobrze. Nie próbuj wstawać. – Poczułem jej usta na skroniach, a potem dłoń na potylicy, po której delikatnie mnie głaskała. – Po prostu leż w łóżku. Zajmę się tobą, Joey.

Łóżku?

Zupełnie nie pamiętam, żeby ktoś kładł mnie do łóżka.

– Gdzie ja jestem?

– Na pogotowiu. – Kolejny pocałunek odnalazł moją skroń. – Od jakiegoś czasu co chwilę tracisz przytomność.

– Tak?

– Mhm. Zrobili ci sporo badań. Tomograf, kilka rentgenów, rezonans. – Przytknęła ją i słyszałem, że stara się hamować płacz. – Ale wszystko będzie dobrze, wiesz? Nie pozwolę, żeby jeszcze spotkało cię coś złego.

– Nie płacz, Molloy. – Musnąłem ją nosem w szyję, próbowałem podnieść ręce do jej twarzy, żeby ją pocieszyć, ale wydawały się tak kurewsko ciężkie, że udało mi się jedynie zahaczyć je luźno o jej biodra. – Wiesz, że dobija mnie, kiedy płaczesz.

– Wcale nie płaczę. – Pociągnęła nosem, jeszcze raz pocałowała mnie w czoło i mocno przytuliła moją głowę. – Wszystko gra, Joe.

– A Shannon?

– Wszystko z nią dobrze – zapewniła. – Mówiłam ci już, pamiętasz?

Nie bardzo.

Gównno pamiętałem.

- Kocham cię – wybełkotałem. – Tyle pamiętam.
- Ja ciebie też – odparła głosem ciężkim od emocji. – Nawet nie wiesz, jak bardzo.
- Ja pierdołę, moje oczy – jęknąłem i skrzywiłem się, gdy otaczająca mnie jasność stała się trudna do zniesienia. – Gdzie Seany?
- W domu z babcią Murphy. – Kolejny pocałunek. – Tak samo jak Ollie i Tadhg. Mają się *dobrze*.
- Tadhg, on... – Potrząsnąłem głową i złapałem ją w pasie. Musiałem się jej trzymać, bo czułem, że moje ciało rozpada się na kawałki. – Miał nóż.
- Nic mu się nie stało, Joe – wyszeptwała. – Już cicho, kochanie. Nie mów nic, dobrze? Po prostu czekaj, aż poczujesz się lepiej. Wtedy o wszystkim porozmawiamy, okej?
- Skinąłem lekko głową i stęknąłem, bo ciśnienie w głowie nabrało nieziemskich rozmiarów.
- Mam na sobie spodnie?
- Nie, kochanie, nie masz. Masz bokserki i szpitalny fartuch. Musieli ci zdjąć spodnie do rezonansu.
- Ech, kurwa.
- A co?
- Mam w dżinsach kulkę haszu – wymamrotałem sennie. – Naprawdę bym zajarał.
- Och, Joe – parsknęła gardłowo. – Cały ty: leżysz w takim stanie, ale myślisz tylko o haju.
- Mogę wejść? – rozległ się obcy głos i nagle zostaliśmy skąpani w anormalnej ilości światła, a do moich uszu dobiegł szelest odsuwanych zasłonek. – Jest pani krewną?
- Tak, jestem.
- Czy w pobliżu jest jego matka albo prawny opiekun?
- Nie, jestem tylko ja.
- Mogę wrócić, gdy jego matka...
- Ma osiemnaście lat – usłyszałem głos Molloy. – A ja jestem wpisana w papierach jako najbliższa krewna. Jest ojcem mojego

dziecka. Jesteśmy rodziną. – Ujęła mnie za policzki i zbliżyła moją twarz do swojej. – Widzisz mnie, Joe?

Skrzywiłem się przez to oślepiające światło i próbowałem dostrzec jedyną twarz, którą widziałem od dwunastego roku życia.

– Molloy.

– Joe, pan doktor przyszedł. – Uśmiechała się. Mój wzrok co rusz tracił i odyskiwał ostrość, ale w końcu skupiłem się na bystrych zielonych oczach. – Porozmawiamy z panem doktorem, okej?

– Okej. – Zmusiłem się do kiwnięcia głową i od razu skrzywiłem z bólu. – Cokolwiek powiesz, królowo.

– Rezonans wykazał kilka podłużnych pęknięć czaszki – opowiadał głos. – Ma złamania nosowe, oczodołowe i pęknięcie włoskowate lewej kości jarzmowej.

– Jarzmo... co? – wychrypiąta Molloy. – Proszę po ludzku, panie doktorze.

– Pomijając trzy pęknięcia włoskowate w czaszce, Joey ma też złamaną kość policzkową, nos i oczodół oraz wstrząs mózgu trzeciego stopnia – powtórzył jaśniej facet. – Rezonans wykazał także kilka dawnych stłuczeń i rozległe uszkodzenia kości ramiennej. Nie wspominając o licznych pęknięciach przynasadowo-trzonowych, które, wygląda na to, wygoiły się nadzwyczaj dobrze i nie spowodowały żadnych większych deformacji ani osłabień szkieletu.

– Nie wiem, co to wszystko znaczy – wydukała moja dziewczyna. – Jak to: „wygoiły się nadzwyczaj dobrze”?

– Czy mogę być szczery?

– Tak, tak, szczery.

– Joseph, mogę być szczery?

– A bądź sobie, kto, kurwa, chcesz, doktorku, co ja twój ojciec? – wymamrotałem, tak bardzo rozkoszując się dotykiem Molloy we włosach, że nachyliłem się bardziej i wsparłem głowę o jej ramię. – Ty możesz być Szczepan, a ja będę Joey.



– Nie, Joe, nie Szczepan, panu chodzi o... Nieważne, proszę mówić, doktorze.

– W przypadkach takich jak u Josepha...

– Joeya – burknąłem. – Joey, Szczepan.

– W przypadkach takich jak u Joeya, u pacjentów w podobnym stanie, mamy zazwyczaj do czynienia z długą historią przemocy domowej. I żebyśmy mieli jasność: badania pani partnera wskazują na wzorec znęcania się na dzieckiem sięgający aż do okresu niemowlęctwa.

– Niemowlęctwa... – Z gardła mojej dziewczyny wyrwał się gardłowy szloch.

– Nie, nie, nie – próbowałem ją uspokoić, łaskocząc nosem. – Nie płacz, Molloy.

– Wszystko jest okej, Joe – wyszeptęła, głaszcząc mnie po głowie. – Skąd pan wie, doktorze?

– Prześwietlenia wyraźnie wykazały niewłaściwe zrosty. Pęknięcia i złamania były nieleczone i goiły się niewłaściwie. Na zdjęciach bardzo wyraźnie widać fatalnie zaleczone pęknięcie środkowej części trzonu kości ramiennej. A to niestety dość często spotykane u narażonych na przemoc niemowląt poniżej osiemnastego miesiąca życia. Choć w przypadku pani partnera wiele kości z czasem może i się zrosło, to wiele urazów pozostało trwałe ślady. Skazy, że tak się wyrażę.

– Twierdzi pan, że to się działo, odkąd był niemowlakiem?

– Twierdę, że istnieją dowody wskazujące na to, że pani partner doświadczał ogromnej przemocy fizycznej przez bardzo długi czas.

– Siegający czasów, gdy był niemowlakiem?

– Możliwe, że tak.

– O Boże – zaszlochała Molloy i przyciągnęła mnie bliżej. – Boże!

– Szczerze mówiąc, to cud, że dziś tu z nami jest.

## NA DOBRE I NA ZŁE

### Aoife

Minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd wpadliśmy na pogotowie z Shannon na rękach i wrzaskiem, żeby natychmiast nam pomogli.

I szczerze mówiąc, pomoc zjawiała się od razu, ale gdy otoczona wianuszkami lekarzy i pielęgniarek Shannon została zabrana na salę operacyjną, Joey zwałił się bezwładnie na podłogę w szpitalnej poczekalni.

Słowo „wstrząśnięta” absolutnie nie wystarczy, żeby opisać, jak się czułam, kiedy siedziałam u boku swojego chłopaka za błękitną zasłonką w samym środku chaosu, panującego na nocnym pogotowiu, gdy czekaliśmy na wolne łóżko na oddziale. Kilka godzin temu podali mu jakiś środek przeciwbólowy, nie wiem jaki, ale kompletnie po nim odpłynął, a mnie trochę ulżyło.

Im dłużej spał, tym dłużej był bezpieczny.

*Tym dłużej był chroniony przed bólem, który w końcu na pewno całkiem go pożre.*

Bo w głębi serca wiedziałam, że gdy leki przestaną działać, a jego biedny, umęczony mózg odzyska wszystkie zmysły, to natychmiast się stąd zawinie. Nie będzie go obchodziło, że musi odpoczywać ani że jego ciało zostało bezlitośnie skatowane. Joey pobiegnie prosto do łóżka siostry i nie pomyśli o konsekwencjach... ani o sobie.

Nie chciałam nawet myśleć, co zrobi po wizycie u Shannon.

Oparłam łokcie na jego łóżku, patrzyłam, jak śpi, i ciągle płakałam.

Pod tymi wszystkimi bandażami i opatrunkami z trudem rozpoznawałam jego twarz. Biały bandaż zasłaniał lewe oko, a nasadę nosa miał zaklejoną plastrami. Siniaki i opuchlizna wokół prawego oka były z kolei tak rozległe, że chyba nawet bym nie zauważyła, gdyby je otworzył.

Przygryzłam dolną wargę, zdusiłam szloch i odgarnęłam mu włosy z czoła. Odslaniając przy okazji kolejne siniaki.

Były wszędzie.

Każdy skrawek jego skóry opowiadał historię barbarzyńskich mąk przyjmowanych z rąk potwora.

Krwawe ślady po uderzeniach na plecach, które odkryłam, gdy wczoraj w nocy pomagałam mu się rozebrać, wywróciły mi wnętrzności na drugą stronę.

Było oczywiste, co go spotkało.

Pas jego ojca zostawił na ciele głębokie bruzdy.

Zmuszałam się, by być silna – dla niego. Trwałam przy jego łóżku i opuszczałam go tylko po to, żeby podejść do automatu po herbatę. Mama dzwoniła bez końca, błagała, żebym wróciła do domu wziąć prysznic i zjeść coś porządnego, ale nie mogłam.

Nie mogłam go zostawić.

Nigdy bym tego nie zrobiła.

Garda, nasza policja, przyjeżdżała i odjeżdżała. Funkcjonariusze chcieli przyjąć od mojego chłopaka zeznania, których on absolutnie nie był w stanie złożyć. Pojawiali się też pracownicy opieki społecznej, policyjny oficer do spraw ofiar przemocy domowej i mnóstwo innych przedstawicieli władz.

Babcia Murphy zdobyła jakoś mój numer i dzwoniła kilka razy, żeby zapytać o stan wnuka i przekazać mu kilka słów, ale to tyle.

Tylko ona się nim zainteresowała.

Odkąd przywieźli go na wózek na salę, ani razu nie widziałam w pobliżu Marie Lynch.

Rozumiałam, że z Shannon jest kiepsko. Dowiedziałam się od ich babci, że ma zapadnięte płuco, ale Joey też ucierpiał, do jasnej cholery.

Miał pękniętą czaszkę, do kurwy nędzy!

To cud, że jego mózg nie został zmielony na szarą papkę.

Sam lekarz tak stwierdził. To *cud*, że Joe tu z nami jest.

– Molloy... – Joey westchnął boleśnie, nakrył moją dłoń swoją i zamrugał tym względnie zdrowym okiem. – Co ci mówiłem o płakaniu?

Pociągnęłam nosem, wymusiłam uśmiech i wyszeptalam:

– Hej, ogierze.

– Hej, królowo. – Jego głos był jak papier ścierny. – Nieźle nogi.

– Nieźle wszystko – zaszlochałam.

– Nie płacz nade mną.

– Nie płaczę. – Postarałam się uśmiechnąć szerzej. – Znowu masz nos jak naleśnik.

– Hm – mruknął. – Żadna nowość.

– Uważam, że to seksowne. – Pociągnęłam nosem, przysunęłam jego dłoń do ust i pocałowałam poranione knykcie. – Wygląd niebezpiecznego zabijaki opanowałeś do perfekcji.

– Jak moje maleństwo?

– Ciągle sobie rośnie w brzuchu.

– A to drugie?

– U mnie okej, Joe – westchnęłam. – U nas wszystko gra.

– To dobrze. – Przymknął oko. – Musi grać.

– I gra, u mnie gra, Joe.

– Musi grać u was obojga.

– Nic nam się nie stało.

– I tak ma pozostać – wyszeptał, ściskając mnie za rękę. – To dla mnie ważne.

Czułam rozpaczliwą potrzebę wejścia na to łóżko i przytulenia go całą sobą, ale opanowałam ją i zamiast tego wstałam.

– Jesteś dla nas ważny. – Nachyliłam się i złożyłam długi pocałunek na jego wilgotnym czole. – Jesteś dla nas wszystkim.

– Chcę tego dziecka, królowo.

– Wiem, ogierze. – Kiwnęłam głową i znów pociągnęłam nosem.

– Słyszałem bicie jego serca.

– Tak, wiem, że słyszałeś.

– Ono naprawdę tam jest.

– Mhm.

– Zrobiliśmy dziecko.

– Tak, Joe, zrobiliśmy.

– Boję się.

– Wiem. To nic.

– Aoif, kiedy będę mógł stąd wyjść?

– Lekarze chcą potrzymać cię kilka dni na obserwacji – wyjaśniłam, wodząc palcami po jego opuchniętej twarzy. – Tylko czekamy, aż zwolni się jakieś łóżko na górze.

– Nie – stęknął, kręcąc głową. – Nie, nie, jebać to. Wracam do domu.

– Zostaniesz tu – ostrzegłam stanowczo i złapałam go za rękę, bo już chciał sobie wyrwać kroplówkę. – Masz cholernie poważny wstrząs mózgu, Joe. Doktor mi to wyjaśnił. *Musisz* tu zostać, okej?

– Muszę zobaczyć Shannon.

*Jakżeby inaczej.*

– U Shannon wszystko gra – usiłowałam go uspokoić, usiadłam na łóżku i delikatnie unieruchomiłam mu rękę przy piersi, żeby nie zrobił sobie krzywdy. – Dobrze tam o nią na górze za dbali, okej?

– Tak, ale ona musi mnie zobaczyć – próbował się wyklócać tym swoim zdartym głosem. – Nie kumasz tego. Muszę przy niej być, gdy się ocknie. Będzie się bała. Nie będzie wiedziała, co ma mówić. Muszę sprawdzić, co z nią.

– Joe. – Ujęłam jego twarz w dłonie, nachyliłam się i zmusiłam go, żeby na mnie spojrział. – Uwierz mi, że u niej *wszystko*

*gra.* – Pocałowałam go w kącik ust, omijając szwy na nabrzmiałej dolnej wardze, i siłą woli próbowałam go zmusić, żeby pomyślał o sobie. – Ufasz mi, prawda?

Ostrożnie kiwnął głową.

– To dobrze. – Przyglądałam mu włosy i pocałowałam raz jeszcze. – Więc zaufaj też, kiedy mówię, że najlepsze, co możesz teraz zrobić dla Shan, to odpocząć i się wykurować.

– Joey? – Zza zasłonki dobiegł żalony głos Marie, przez który oboje stężeliśmy. – Mogę z tobą porozmawiać?

– Nie, nie, nie – wycharczał, łapiąc mnie za rękę. – Nie mam na nią siły.

– W porządku – wyszeptałam, ocierając się policzkiem o jego zdrowy policzek. – Jestem przy tobie, wspieram cię.

– Kurwa mać – zaklął niezadowolony, ale ustąpił i kiwnął sztywno głową. – Dobra.

– Wejdz, Marie.

Zasłonka się odsunęła i ujrzeliśmy jego matkę. Wydawała się tak samo mała i krucha jak wtedy, gdy widziałam ją po raz ostatni.

– Joey. – Miała głęboko zapadnięte oczy, ewidentnie do cna wypłakane. Zrobiła niepewnie krok w naszą stronę. – Aoife.

– Marie – odparłam oziębłe. Zerknęłam na stojącego za nią wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę. Miał na sobie za drogi jak na pracownika opieki społecznej garniak, więc uznałam, że to jakiś prawnik.

*Bóg mi świadkiem, że się jej przyda.*

– Och, Joey, kochanie. – Jego matka pociągnęła nosem i ruszyła do łóżka, ale gdy zdała sobie sprawę, że nie zamierzam się przesunąć, od razu się zatrzymała.

Nie przesunęłabym się nawet, gdybym chciała.

Bo Joey trzymał mnie za rękę z siłą imadła.

– Jak się czujesz? – zapytała. – Biedna twarz.

Mój chłopak nie odpowiedział.

Nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

Całkowicie wyprany z emocji wpatrywał się w mężczyznę.  
 – Hej, młody – odezwał się tamten głosem ciężkim od emocji.  
 Mnie w ogóle nie zauważał, miał wzrok przyspawany do  
 Joeya.

– Szmata czasu – rzucił.

*Szmata czasu?*

Ściągnęłam brwi i przyjrzałam mu się dokładniej. Ta twarz  
 wyglądała znajomo.

Wysokie kości policzkowe.

Ciemnobrązowe włosy.

Wydatne usta.

Oczy barwy nocnego nieba.

– Cholera... – wykrztusiłam. Szybko dodałam dwa do dwóch  
 i wyszedł mi z tego ewidentny Darren. – To ty.

Na moment skupił na mnie uwagę i w jego oczach również  
 błysnęło zrozumienie.

– A to ty.

Zdziwiłam się, bo byłam pewna, że nigdy w życiu nie spotka-  
 łam tego człowieka.

– Słucham?

– Więc i tak tam poszedłeś i stanąłeś do walki, Joe? – odezwał  
 się z zadumą, tyle że tym razem już do mojego chłopaka. – Cóż,  
 na pewno nikt ci nie zarzuci, że jesteś strachliwy.

– Na serio: *słucham?* – Zamrugałam zdezorientowana.

– Nieważne – odpowiedział Darren i pokręcił głową. – Jak się  
 czujesz, Joey?

– Co ty tu robisz? – odparł Joey głosem zimnym i twardym jak  
 stal. – Czego chcesz?

– Mama po mnie zadzwoniła.

– Jak to po ciebie *zadzwoniła?*

– Posłuchaj, Joe, wiem, że mamy sporo...

– Jak to po ciebie *zadzwoniła*, Darren? – powtórzył ociekającym  
 jadem głosem. – Jak to, kurwa?

– Odsuń się – ostrzegłam i zasłoniłam swojego chłopaka, bo jego brat chciał się zbliżyć. – Po prostu się, koleś, odsuń.

– Aoife, ty się w to nie wtrącaj.

– Skąd znasz jej imię? – Joey puścił moją rękę. Jakoś usiadł, choć ciężko po tym dyszał, i mierzył wzrokiem brata i matkę, jakby byli jego śmiertelnymi wrogami. – Skąd on, kurwa, wie, jak moja dziewczyna ma na imię?

– Dzwoniłam do niego – wydukała jego matka i przyłożyła dłoń do piersi.

– *Dzwoniłaś* – powtórzył śmiercionośnym głosem Joey. – Po prostu sobie do niego zadzwoniłaś? Czyli przez cały czas miałaś numer? – wydusił i aż zaczął się trząść. – Przez pięć i pół roku? Utrzymywałaś z nim kontakt i nic mi nie powiedziałaś.

– Joey, posłuchaj...

– Nie odzywaj się do mnie, kurwa! – ryknął mój chłopak i wy-celował palec w dawno niewidzianego brata. – Nie patrz na mnie, kurwa! – Odwrócił się do matki i syknął: – Rozumiem, czemu nie mogłaś powiedzieć tacie, rozumiem, że nie powiedziałaś chłopcom i Shannon, ale mnie? – Jego dolna warga zadrżała, a mnie pękło serce, bo zapytał: – Dlaczego nie mogłaś powiedzieć *mnie*?

– Przepraszam, że ci nie powiedziałam... – próbowała się tłumaczyć, ale Joe chyba miał już tego dość.

– Zamknij się, kurwa! – Objął mnie w pasie, przyciągnął do siebie i wtedy poczułam, że cały drży. – Po prostu stąd wypierdalać, oboje!

– Joey, proszę...

– Słyszałaś, co powiedział – warknęłam i wyprosiłam jego matkę gestem. – Po prostu idźcie.

– Aoife, pilnuj swoich spraw – odezwał się Darren i posłał mi chłodne spojrzenie. – Wiem, że chcesz dobrze, ale to sprawa rodzinna.

– Nie odzywaj się tak do niej, pierdolony gnoju. – Joey natychmiast stanął w mojej obronie. – *Ona jest moją rodziną.*



– Joey – załkała Marie. – Jestem twoją matką.

– A ona jest matką mojego dziecka, więc nawet nie próbujcie mi tu grać sprawami rodzinnymi – syknął na nich. – Bo ona wygrywa. W każdym wypadku.

– Właśnie – potwierdziłam zaciekle, skrzyżowałam ręce na piersiach i z satysfakcją spojrzałam na jego matkę.

– Drogie panie, to nie są zawody – powiedział przeciągle Darren. – Mogłabyś na chwilę się odsunąć, żeby nasza matka zamieniła dwa słowa z własnym synem?

– Nie, kurwa, nie przesunę się – warknęłam i poczułam, jak rośnie mi ciśnienie. – To ja siedzę przy jego łóżku, odkąd go tu przyjęli. To ja jestem wpisana jako jego najbliższa krewna, bo żadne z was nie raczyło się pojawić, zasrańcy. Gdzieście byli przez cały ten czas, co?

– To nieuczciwe – zaskamlała Marie. – Przecież Shannon...

– Przestań mi tu bredzić o uczciwości – prawie się wydarłam. – Popatrz na jego twarz.

– Aoife, proszę.

– Spójrz na jego twarz – powtórzyłam, a mój głos podnosił się razem z ciśnieniem. – Dobrze się, kurwa, przyjrzyj, Marie. To twój syn. – Wskazałam wściekle na swojego chłopaka. – Jest twoim dzieckiem tak samo jak Shannon, chłopcy czy ten tu.

– Wiem, że jest moim dzieckiem.

– To, kurwa, pokaż to! – syknęłam, mrużąc oczy z odrazą. – Przestań go traktować jak zbędny dodatek. Bo nim, kurwa, nie jest. Nie możesz tu przychodzić i nagle się rządzić, choć wcześniej nawet na chwilę do niego nie zajrzałaś! To tak nie działa i nie zamierzam patrzeć, jak wbijas swoje szpony jeszcze głębiej w jego...

– Molloy.

– Nie, Joe, ona musi to usłyszeć. – Stłumiłam wrzask, mrugnęłam, żeby pozbyć się łez wściekłości, i wymierzyłam palec w jego matkę. – On jest najlepszym owocem twojego małżeństwa, ale ty jesteś za głupia, żeby to dostrzec. Nie jest twoim ochroniarzem,

bankomatem ani jebanym mężem. Jest *twoim dzieckiem*. Synem! – Przeniosłam rozjuszony wzrok na jego brata. – A co do ciebie? Cóż, kiepsko cię znam, ale czuję, że to właściwy moment, żeby ci powiedzieć „spierdalaj”, więc spierdalaj!

– Skończyłaś już ten wybuch? – zapytał flegmatycznie najstarszy Lynch, unosząc brew. – Bo ja donikąd się nie wybieram, dopóki nie porozmawiam z bratem na osobności.

– W takim razie posiedzimy tu sobie wszyscy! – krzyknęłam uparcie.

– Molloy – poczułam na talii dłoń Joeya – w porządku.

Odwróciłam się do niego spanikowana.

– Joe, nie musisz z nimi rozmawiać. Słyszysz? Nie musisz już wysłuchiwać ani jednego jej słowa.

– W porządku – wyszeptał i ścisnął mnie pokrzepiająco. – Jedź do domu i coś zjedz. Dam tu sobie radę.

– Nie zostawię cię.

– Dam sobie radę.

– Joe, nigdzie nie jadę.

– Prędzej czy później i tak będę musiał z nimi porozmawiać.

– Ale...

– Wszystko gra, maleńka. Po prostu daj mi kilka godzin. Dam sobie radę, okej?

Nie, nic tu nie gra.

Wszystko *jest złe*.

Nie chciałam, żeby ci ludzie się do niego zbliżali.

– Joe... – Przygryzłam dolną wargę i błagałam wzrokiem, żeby tego nie robił. – Jesteś pewien?

Nie wyglądał pewnie.

Nie wyglądał, jakby był w stanie użerać się z tymi ludźmi.

Ale i tak skinął sztywno głową i mnie puścił.

– No dobrze. Jest trzecia – wydukałam, zerknąwszy na ekran komórki, którą od razu schowałam do kieszeni. – Skocz do domu, wezmę prysznic i wrócę o szóstej, okej?

– Nie śpiesz się – powiedział. – Wszystko gra.

Nie, wcale nie.

Wszystko we mnie krzychało: „*Źle, źle, źle!*”.

Ale co mogłam zrobić?

Nie za bardzo miałam możliwość, żeby wyrzucić jego matkę i brata ze szpitala, ale jeżeli Joey chciał z nimi rozmawiać, to nie mogłam go powstrzymać.

Choć naprawdę, naprawdę nie chciałam, żeby w ogóle zbliżał się do tych ludzi.

– Kocham cię – powiedziałam, ignorując jego bliskich, nachyliłam się i pocałowałam go w usta. – Wrócę do ciebie.